ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Maja. № 22. Roku 1855.

RZECZPOSPOLITA PONTE-MOLLE.

Nie piérwsza-to Rzeczpospolita San Marino, i nie ostatnia we Włoszech; przykwita jeszcze w państwie papieskiém druga: *Ponte-Molle*, i to w samym Rzymie, w obec absolutnego świata — Rzeczpospolita osobliwsza, bo jéj obywatelami są Artyści.

Początek jéj gubi się w starożytności, śladu niema kiedy powstała; szkoda, artyści dokumentów nie pisują, dopiéro w nowszych czasach zaczęto regestra prowadzić przybytku i ubytku ludności, ale ich głów dokładnie nie obliczano, może dla tego że w tém państwie nie płacą pogłównego.

Z podania tyle wiedzą: W średnich wiekach kiedy wytwory dzieł ludzkich mierzono tylko *Sztuką* (arte), a kunsztu od rzemiosła jeszcze rozróżniać nie umiano, składali artyści osobny cech jeden, i podobnie jak każda giłda, mieli osobliwe prawa, zwyczaje właściwe, formuły oddzielne, i rozgałęzali się na języki czyli narody. Gdy dano znać do Rzymu że nowy kolega przybędzie, wychodzili całą giłdą nad Tyber, i czekali za mostem w pewnéj gospodzie, gdzie do dziś jeszcze się przechowało doskonałe wino. Tu gość odbywał ostrą spowiedź, zdawał dowody jako z powołania jest wyznawcą sztuki, że nie partacz, nie zbieg, nie zawłoka, co więcéj: jakiego był serca, jakiego animuszu, a z czego wyzwolić się nie łacna było, bo doświadczeni zasiadali Sędziowie, umieli obracać i podchodzić pytaniami; dopiéro gdy się szczęśliwie wywiódł, witano go kolegą, podawano rękę braterską, spełniano kielichy zdrowia, i narzucano mu przydomek wzięty albo od tego jak wyglądał, albo zkąd był rodem, albo od usposobienia i zręczności z jaką się popisał. I odtąd świat go nie nazywał inaczéj.

Po téj ceremonii wolno mu było do Rzymu, i wprowadzali go do miasta w gromadzie przez most „Ponte-Molle“, bramą „Porta popolo“.

Tak bywało za dawnych czasów. Późniejsze wieki obaliły przegrodę, jaka się zastawiała między cechami, a surowy obyczaj stary przeistoczył się w nadobną igraszkę. Artyści dochowywali towarzyskiéj społy, zawierali stałe, ze wzajemności raczéj a nie dla formy między sobą przymierze, nie ażeby się od ludzi

odosobniać, lecz w braterskiéj jedności i porozumieniu, ażeby używać słodyczy nieba gościnnego, a w pogodzie umysłu i weselu serca ażeby kształcić nadobną muzę. Na gruzach kasty realnéj powstało królestwo idealne; — ale jak-to pod berłem Tersyta bywa, zakradły się bezład i anarchya, aż się przyrodził jakiś, bo niepamiętny dyktator, który w duchu Napoleońskim roztrzelone członki zespolił w monarchiczne ciało, i tytułem „Generale“ wojskowe berło lat wiele prowadził. Po jego zejściu zawiązała się Rzesza w społę, obrała prezydenta z władzą ograniczoną, przydała mu Vice-prezydenta, a dla zastępstwa ludu Trybunów, i wymierzono wszystkim okres władzy na cały rok jeden. Prezydentowi wolno popierać sprawy ogółu, ale najdrobniejsza przechwałka, najmniejsze nadużycie władzy, pociąga niezwłoczną detronizacyę, bo artyści to lud krnąbrny, zuchwały i zawistny swobody, nie zna żartu. Pensya temu Prezydentowi oznaczona jest o mniéj dwadzieścia tysięcy dolarów tego co pobiéra prezydent Stanów Zjednoczonych. I w téj formie utrzymuje się ta „Ponte-Molle Rzeszy-społa“ po dziś dzień, a każdy przybywający artysta wstępuje dawnym obyczajem w jéj prawa obywatelskie.

Już kilka dni naprzód wywieszają w *Caffé greco* plakat obwołujący po staréj formie rzeszę na zgromadzenie u zamościa do Ponte-Molle. Publiczność zbiera się w mieście w polubownéj gospodzie, bo dzisiejsze przenosiny za Ponte-Molle to słowo bez miana; goście schodzą się gdzie sobie miejsce obiorą, zasiadają za stół, i jak czyj worek, sumienie i żołądek pozwalają, pożywa każdy i pije, a pije dobrze bo na mieszek kolegi, który wstępne polewa. Prezydent między nimi przewodzi z powagą, a godność swoją wyobraża łańcuchem na szyi z miedzianych bajoków spiętym. Gdy się podsycą, wchodzi do izby najstarszy z trybunów i obwieszcza prezydentowi że znadworu doprasza się kandydat przejścia za most Ponte-Molle. — Prosimy! i kandydat wchodzi pod zasłoną dwóch trybunów i staje twarzą do prezydenta. Ale wchodzi jak może najdziwaczniéj; jeden przybywa zapielony z tłumoczkiem na plecach, inny dźwiga ogromną mapę, inny wjeżdża na wózku, inny wciska się na ośle, każdy jak kogo pustota bierze. Prezydent rzeszy zapytuje gościa jak się nazywa, czém się trudni, czemu się poświęca, i zadaje mu różne pytania o sztukach i kunszcie. Kolega udaje trutnia, prawi nic do rzeczy, podają mu karczoch, on mówi: to głowa Tersyta; patrzy na dziwolągi rzeźbiarskie, i dowodzi w nich dłuto Leonarda da Vinci; zagląda w Diario di Roma, śni mu się *papyrus* starożytny i prawi o zwitkach egiptskich. Prezydent lituje się niewiadomości jego, bo wié ile są błędne wyobrażenia świeżych przybylców do Rzymu, wié co plotą o sztuce archeologowie, konaisory, krytycy i cały motłoch wojażerów, z tém wszystkiém nie ubolewa zbyt nad nim, bo wié także środek pewny, wié jak zakląć szaleńca, więc każe gościowi podać puhar wina. Gość wychyla, bredzi jeszcze cokolwiek, podają zatem drugi, lecz zwykle

po piérwszym już mu spada zasłona jak łuska z oczu, widzi jasno że Diario di Roma to szczére dziennikarskie paskudztwo, widzi że *Carcioffo*, to karczoch, a co mu się wprzódy widziało Jowiszem Leonarda, to po prostu jakiś abbatone na byku. Sam siebie się wstydzi, rumieni, serce kruszeje, z czego prezydent wróży szczęśliwy nawrot obłąkanego, więc mu udziela prawa obywatelstwa w gronie Artystów, i na znak, trybun przywiesza mu u szyi bajoka na wstążeczce niebieskiéj, i to znaczy: przeszedł za Ponte-Mole. Przeszedł Rubikon, i byle powtórnie nie popadł ślepocie, może być z niego świetny artysta. Spijają się teraz toasty na cześć nowego członka, i przy ochocie spędza się wieczor wesoło.

Śmiesznym w oczach wielu wydawać się może taki obyczaj, a najbardziéj mania z orderami. Wolno myśléć jak się podoba; ale oznaka któréj się ani Thorwaldsen ani Horacy Vernet nie wstydzili, i luboć im przy kielichu podana była, wcale nie cuchnie dzbanem. Brat zakonu inaczéj sądzi i Thorwaldsen, gdy mu za powrotem Kopenhaga na cześć ucztę sprawiła, zaparł się wszystkich orderów jakimi go monarchowie okryli, a przypiął do sukni samego tylko Bajoka.

Takiém jest przyjmowanie kandydata. Zaś kiedy przychodzi któremu odjeżdżać. zbierają się koledzy, dawniéj bywało za bramą *Porta San Sebastiano* u grobowca Cecylii Metelli, a teraz sześć mil włoskich za wjazdem *Porta Maggiore* w łomach *Cervaro*. Prezydent żegnając kolegę uwieńcza go wawrzynem, życzy szczęśliwéj drogi i dodaje *„a rivederci!“* a to iż niepodobna, kto raz zakosztował słodyczy rzymskich, by nie zatęschnił za niemi i nie powrócił.

Obrząd pożegnania odbywa się z pewną uroczystością. Już tygodniem abo więcéj naprzód zbiera się Rzesza społy Ponte-Molle w gromadach osobnych pod chorągiew swego wyznania, swéj sztuki, swojéj narodowości, i obierają hufcom swoim wodzów, pod których sztandarem odbędzie się kampania. Wodzów głównym obowiązkiem jest zaopatrzyć gromadę w żywność — bo żołnierski brzuch wiecznie do walki gotów, miał powiedzieć Shakespear — za to téż Ponte-Mollianie dobierają najsprawniejszych ludzi, kiedy o dowództwo chodzi. Dostojeństwa zaś mianuje prezydent z własnego ramienia, ale tylko na ten dzień jeden: Arcywodza żandarmów, Arcyganimeda, Trębacza, Dobosza, i inne godności, i na to wydaje każdemu dyplom po formie.

Nowe w Rzesz-społę wstępuje życie, jak w roztrąconym kopcu mrówek wszystko się krząta, ci robią chorągwie, ci godła malują, śmieszne, poważne, jak do woli komu, ci przetrząsają tandety i maskownice, dobierają sukień świątecznych i balowych, zwożą w styrty bochenki, sałaty, jaja, przeszukują piwnice, gdzie wino najlepsze i znoszą baryłami, najmują się konie, muły, osły; a wolno każdemu według upodobania zaciągnąć się do infanteryi lub kawaleryi — większa część zwykle dosiada osłów.

Wreszcie bije stanowcza godzina. Za kościołem „Santa Maria Maggiore“ czeka na placu legion osłów, odśpiewują hymny patrząc na tłoki koszów, które dźwigać im przyjdzie; gdyby nie to nikt by się nie domyślił reduty swawolnéj, taka powaga w każdym koledze; przybory i stroje teatralne poosłaniali płaszczami, bo w środku miasta jakośby nie uchodziło; dopiéro gdy za murami, u bramy *Torre dei Schiavi* cztery mil włoskich za miastem — dopiéro występuje rzesza w całéj okazałości. Prezydent w płaszczu purpurowym z lamami od złota, z berłem w ręku, gwiazdą i wstęgą purpurową na piersiach; arcywódz żandarmeryi w stosowanym kapeluszu z kutasami przy epauletach łokciowych i drewnianym pałaszu; dobosz w kaftanie staro-niemieckim; Beduin w białym burnusie wełnianym, z dzidą w ręku; *'Conte* w peruce z warkoczem i w okularach; *Marinaro* w czerwonéj szlafmycy; staro-germański Rycerz w beretce z piórem na głowie; *une dame de naissance* pod wąsem o biodrach podprawionych; inni znowu w stroju *di fantasia* co się wyobraża kapotą na wywrót; Ganimed, głowa w bluszczu, z kijem Tersyta i szynką w ręku.

Urzędowanie Ganimeda otwiéra igrzyska, bo wojsko gore pragnieniem — sławy. Obok i za rzeszą tłoczą się gromady widzów niemałe: Rzymianie, cudzoziemcy osobliwie Anglicy, wszyscy ulicznicy, wszystkie niedorostki hultajskie *di Piazza Barberina* — a legiony tego — wszystkie się wylały tutaj, bo też i nic nie tracą, dla nich to samo słońce za miastem co w mieście, za miastem nawet jeźli nie miłosierniejsze pewnie życzliwsze, bo mogą do woli pokalać — *pungere* — osły, i do tego oberwać jaki okruch z bankietu.

Po półgodzinnym popasie u Torre dei Schiavi ruszają w pochód. Wyprawiają się marsze po formie z gracyą i precyzyą, zdobywają się wzgórza na nieprzyjacielu niby, zsuwają się szeregi i na znak rozsypują w manowce, jak by o zdobycie twierdzy jakiéj chodziło. Armia przewyższa wszelkie oczekiwanie, nieprzyjaciel wszędzie pierzcha, a polegli wszyscy zmartwychwstają — artystom głowa nigdy nie szwankuje — zwycięztwo najzupełniejsze i armia zatacza się z spokojném sumieniem na leże.

W pobliżu stała tu niegdyś w średnich wiekach strażnica, dziś poszła w tenutę — dzierzawę folwarku nad pieniącym Teweryném. Za tenutą zchodzi się w łomy, zkąd Rzym wydobywał bryły kamienia na odwieczne gmachy swoje. Są-to ogromne pieczary misternie kute w skale, o silnych filarach, zpoza które się światło znadworu wkrada. Zgromadzają się wszyscy w jednéj z największych, w głębi na podniesieniu jest siedzenie dla prezydenta, nad nim baldachim z wawrzynów, a w około chorągwie wszystkich narodowości. Teraz rozpoczynają dygnitarze swoje urzędowania. Arcybudowniczy przewodzi cieślami, jak z brył kamiennych ustawiać stoły i stołki; Rzeźbiarz wykuwa w ścianie rok olimpiady i imię panującego prezydenta; Arcystolnik pokazuje jak przyprawiać sałatę,

pieczeń i chleby; a Ganimed niespracowany, jak matka młodym jaskółkom zalewa pyszczyk pisklętom Muzy.

Nim stoły staną i potrawami zastawią, szykuje prezydent ludy i wiedzie do przybocznéj jaskini, gdzie świątynia Sybilli. Grota obszerna że się wszyscy mieszczą, w głębi stoi ołtarz, a przed nim w czaszy gore niebieskie światło. Prezydent zachodzi przed ołtarz, obwodzi rószczką koło i odmawia zaklęcie. Sybilla udaje znużenie i ani się rusza. Egzorcysta podwaja zaklęcia. w imię trojga win najprzedniejszego gatunku jakie Romagna rodzi, i to pomaga; słychać huk z działa, wszystkie niedopierze spłoszone w pieczarach wzlatują, Sybilla w białéj szacie podnosi się i zaczyna zrzędzić i wydziwiać dla czego jéj przerywają w medytacyach filozoficznych, po chwili łagodnieje, i prorokuje jako na przyszły rok Rzym będzie witał wiele, wiele gości, z pojęcia obranych ale odętych w trzosy, nic nie będą rozumieć ale kupować dużo, oświadcza, że jeszcze nie wynaleziono proszku na krytyków ani na pluskwy, i wiele podobnych rzeczy przepowiadając znika i dodaje: Prosit! abo dobrego apetytu! abo szczęść Boże! — Drugi wystrzał! i arcywódz żandarmeryi tłumaczy w innych językach odpowiedź Sybilli, jak może najśmiesznićj, poczem prezydent obwołuje: Do stołu! Przy odgłosie trąb i kotłów wznosi prezydent toasty i rozpoczyna ceremonię rozdania orderów. Każdy co uczestniczył walce dostaje pół bajoka na wstążeczce zielonéj, a mało który, i to ten co się najlepiéj zasłużył, otrzymuje całego bajoka na czerwonéj wstążeczce, order piérwszego rzędu w zakonie artystów.

Skończyła się uczta, ludy wychodzą i staczają igrzyska olimpijskie; najprzód idą gonitwy ośle torem gdzie z wiązek siana porobiono zawady, potem następuje miotanie z procy, puszczanie dżyridów do cylu, a cylem jest olbrzymi recenzent, serca w nim niema, za to brzuch opasły do którego przylepiono ostatnią recenzyę z Diario di Roma. Wszystkie pociski godzą do niéj, w chwili i cały recenzent zdziurawiony jak rzeszoto, bo między artystą a recenzentem nienawiść nieprzebłagana jak między Gueifem a Gibelinem, jak między Yorkiem a Lankastrami, a lepiéj: jak psem a kotem. Tymczasem próżnieją baryłki, a głowy cięźeją, zapada słońce, wojsko zatacza się ku bramom Rzymu, nazajutrz pamięć o jedno wspomnienie bogatsza. *)

---

*) W tym roku odbyła się podobna uroczystość piérwszych dni Maja. Najpyszniéj — jak piszą z Rzymu — wypadły gonitwy ośle, z tego szczególne że ten był zwycięzcą, kto do mety stanął ostatni. Sztuka niesłychana. Spektatorowie wrzaskiem, postrachem i miotłami płoszyli osła, a jezdziec musiał natężyć całéj siły i zręczności ażeby powściągnąć osła rzymskiego.

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. Rozmaitości.)

Scena 6.

Henryk, Prezes, Dutkiewicz.

Prezes *(wprowadzając Dutkiewicza).*

Tędy proszę pana.
Tego to, bardzo proszę. Choć-to niby z rana
Lecz gorąco nieznośnie. Tu nam chłodniéj bę-
(dzie.
Wnet pozapuszczam sztory. Niechże pan usię-
(dzie.

(Henryk w przeciwnym kącie gabinetu przerzuca gazety.)

Dutkiewicz.

Prezes się fatyguje; wszak to się niegodzi
Tyle się dla mnie trudzić!

Prezes.

Nie; nic mi nie zaszkodzi.
Lubię służyć mym gościom serdecznie, uprzejmie.
Niech pan kładnie kapelusz, rękawiczki zdejmie:
Tak pożądanych gości, *to tego*, nie wielu.
Niech pan siada; tu lepiéj; ot na tym fotelu.

(Siadają.)

Dutkiewicz.

Jak prezes czas przepędza?

Prezes.

Ależ wyśmienicie!
A pan?

Dutkiewicz.

Ja?.. życie miejskie, to moje jest życie:
Jestem w moim żywiole. Tak zwykle pszenicę
Jadę tutaj sprzedawać; a ztąd za granicę
Często jeżdżę. I tak mi to życie zabawą.

Prezes.

Za granicę?

Dutkiewicz.

Do Buska, co aż za Warszawą!

Henryk *(na stronie).*

Jak się to nie zgubiło, jeżdżąc tak daleko?

Dutkiewicz *(do Prezesa).*

Na wsi dnie się okropnie jednostajnie wleką.
Gospodarzyć: to znaczy łajać, skórę łatać;
Polować: to się z szlachtą szaraczkową bratać;
Urzędować: to dawać obfite obiady,
Gdzie nie kilka już osób, lecz całe gromady,
Zakazanych jakichsiś figur się natłoczy;
A gospodarz, ze wstydu, nie wié gdzie dziać oczy.
Mnie raz tak się zdarzyło; no, wziąłem na poty.
Songez: za moim stołem siedzą Hotentoty;
Ledwo zupę kończymy, aż tu szóstka z dzwon-
(kiem,
Kocz, a w nim drogi Oleś zajeżdża trafunkiem.
Mnie, jakby warem oblał. Znasz prezesie przecie,
Co za człowiek jest Oleś, jak obyty w świecie:
Urodzenie, majątek, dystynkcya, maniery,
Dowcip, złośliwość wielka! Mój przyjaciel
(szczery,
Ależ i przyjaźń żadna wytrzymać nie może
Przy takiém towarzystwie. Bo cóżto mój Boże,
Bo cóżto za figury siedziały za stołem?
Z twarzy, z ruchów Olesia, od razu pojąłem,
Że niebardzo mu miło leźć w to zbiegowisko.
Odsunął od nich krzesło, siadł koło mnie
(blizko,
I zaczął drwić z mych gości. Co który rzekł sło-
(wo,
Oleś wnet mu przerywa odmienną rozmową;
Puszcza cugle swéj znanéj w świecie złośliwości,
Jéj zaś celem z kolei każdy z moich gości.
Truchleję, bo hałastra ta dobrze mi znana;
Doświadczyłem, jak harda i źle wychowana:
Nikogo nie szanuje. A Alexandrzyska
Bojaźń pewno nie wstrzyma, drwi. To ich na-
(zwiska

Przekręca pokilkakroć śmiesznie i zuchwale,
To pyta się o żony, których nie zna wcale.
Po mnie dreszcze przechodzą!

Prezes.

Bardzo panu wierzę.

Dutkiewicz.

Myślę: ot awantura!

Prezes.

Słysząc, strach mnie bierze!

Dutkiewicz.

I obiad mi już nie w smak, i nic mi niemiło.

Prezes.

Proszę pana, *to tego*, jakże się skończyło?

Dutkiewicz.

Trza oddać sprawiedliwość memu powiatowi:
Poznali się, co winni są gospodarzowi,
I ocenili zaszczyt siedzenia przy stole
Z człekiem, co jednę z pierwszych odegrywa rolę
W najwyższém towarzystwie.

Prezes.

A, *tego to*, przecie,
Cywilizacya kwitnie w tym pańskim powiecie.

Dutkiewicz.

Wpływ niemały wywieram.

Prezes.

I tak być powinno,
By układność zmieniła dawną dumę gminną.
Pięknie pan urzęduje, gdy przykładem pana,
Zasługa rodowita jest uszanowana.
Ślicznie pan urzęduje! *To tego*, daj Boże,
By na przyszłe tryjenium już gubernskim może...
A w przyjemnéj nadziei téj godności nowéj,
Nie od rzeczy pomyśléć i o marszałkowéj?

Dutkiewicz.

Co? żenić się?

Prezes.

A jużci!

Dutkiewicz.

Ha! ja nie od tego.

Prezes.

Kawaler jest; pół rzeczy zrobiono, *to tego!*

Dutkiewicz.

Gdzież panna?

Prezes.

Ten ma siostrę, a ten siostrzenicę,
A ten córkę. *To tego*, nasze okolice,
Dzięki Bogu, jak łąki kwiatami upstrzone,
Mnóstwo panien, *to tego*. To już dowiedzione:
Że rok w rok ich przybywa. O! te nasze strony,
Pomiędzy guberniami są błogosławione:
Nie prawdaż?

Dutkiewicz.

Wielka prawda. Że ziemia tu żyzna,
Każdy ekonomista doświadczony przyzna;
Sam Malthus by się zdziwił; Saj klasnąłby w dło-
(nie.
Ja, z mego stanowiska, Malthusa nie bronię,
Ale szczerze wyznaję....

Prezes.

Pańskie zdanie dzielę.
Ekonomistów biegłych tak jak pan, niewiele!
Lecz weźmy tę prowincyą z jéj moralnéj strony:
Bo moralność jest wszystkiém przy wyborze
(żony.
Tego to, gdzie, jak u nas i smak i maniera,
I opinia? Na wszystko jest prawa litera,
Są zwyczaje i formy, z których ton się składa.
Każdy ruch, każde słowo w swą porę wypada,
Że rozmyślać nad życiem potrzeby nie mamy.
Tego to, weźmy przykład: naprzód nasze damy
Jak umieją prowadzić ton domu wysoki,
Jak chodzą, jak siadają, jak dają wyroki
O wszystkiém i o wszystkich. A to im wrodzone:
Nie uczyły się nigdy, a wszystkie uczone.
Na swój kraj ani patrzą, znają obce kraje.
Pogadajno pan z niemi! To tak się wydaje,
Że się tu nie rodziły, tylko, że to damy
Z Paryża lub Londynu! Skarby, panie mamy!!
Medyczki, filozofki, filantropki, panie!
Gadaj pan o czém zechcesz, na wszystko je sta-
(nie.
Zacznij o medycynie, to wnet cię przekona,
Że tylko z jéj pomocą każdy we wsi kona.
Przed ich wiadomościami we sztuce leczenia,
Sam sławny Hipokrates milczy z podziwienia!
Zarwij o filozofii, Hegel nieomylny,
Nigdy nie był tak ciemny, tém samém tak silny!
A dotknij gospodarstwa, Oczapowski za nic!
Filantropii zaś w czynie dowodzą bez granic

Każda piesków, papugi, opiekunką pewno,
I kocha je miłością troskliwą i rzewną.
O! serca złote, złote! Alboż nasze panny?
To tego, żywe lalki! Jaki gust wytrawny
W wyborze sukień, wstążek, w całéj toalecie!?
Odezwać się poprostu nie chce za nic w świecie,
Ale wszystko wybrednie, z przesadą, misternie,
Zupełnie jak w romansie: rozumne niezmiernie!!
Nielada nasi ludzie i nasza kraina!
A obyczaj? Cześć z ojca przechodzi na syna
Razem z mieniem, już zwyczaj uświęcony taki;
Choć ojciec nie miał zasług i syn ladajaki,
Lecz niech ma dusz kilkaset, do tego rodowych [1]);
To i kawaler, panie! O! my ludzi nowych,
Choć przesiąkłych rozumem, nauką, zacnością,
Przyjmujemy zapewne: lecz poufałością
Nie obdarzym! Nie mówię: wpuścić do rodziny,
To byłoby *horrendum!* Więc nie bez przyczyny,
To tego, ja powiadam, że te nasze strony,
Pomiędzy guberniami są błogosławione!
Nieprawda-ż?

Dutkiewicz.

Mnie się zdaje, że nie sądzę mylnie,
Gdy mniemam, że to Zachód oddziałuje silnie
Na nasze towarzystwo.

Prezes.

Tak, tak, mianowicie
Błogosławion wpływ Francyi zmienił nasze życie;
I resztki wielkiéj armii, kształcąc nas z dziczy-
(zny,
Spowodowały błogi w skutkach wpływ obczyzny.
Dziś u nas wszystko nowe, usługa, mieszkanie,
Ogrody, stół, pojazdy, meble i ubranie...

Henryk.

Wszystko nowe: a tylko ciemnota w nas stara!

Prezes *(na stronie do Henryka).*

Prosiłem: bądź uważny: czy wielka ofiara?!
(głośno)
A! panowie podobno razem w szkołach byli,
Więc znajomi, *to tego*.

Dutkiewicz.

Prawdziwie, w téj chwili
Nie przypominam sobie....

Henryk.

Nie dziwię się wcale;
Pan w szkołach, jak meteor, błysnąłeś wspaniale,
I znikłeś z drugiéj klasy. A na edukacyą,
Jeśli dosyć dwa lata, strąciwszy wakacyą;
Dla pamięci kolegów nadto krótka pora.

Dutkiewicz.

Nie musiał pan dobrodziéj stać u dyrektora,
Bo pewnobym pamiętał.

Prezes *(na stronie do Henryka).*

Widzisz, jaki grzeczny?
(głośno do Henryka)
To tego, więc znajomość! Człek taki dorzeczny,
(do Dutkiewicza)
Znać powinien człowieka tak znakomitego!
(Dutkiewicz kłania się)
Pan Henryk człowiek zdolny, uczony, *to tego*,
Pięknie pisze, i wiersze pięknie komponuje;
Tylko, tylko dziwaczny, hypokondryk! Psuje
Najpiękniejsze nadzieje. O! pożal się Boże,
Że człek z takim rozumem....

Henryk.

Czy prezes nie może
Uszczęśliwić litością swą kogo innego?

Prezes.

Ja nie jeden, a wszyscy żałują, *to tego*.

Henryk *(porywa za kapelusz).*

Wszyscy! wszyscy! To większość! Większość,
(owcza trzoda!
To mi sędzie? Prawdziwie mówić o nich szkoda,
Bo nawet i śmieszności już w nich nie ma nowéj!
Żegnam panów!
(Wychodzi.)
(Prezes i Dutkiewicz ruszają ramionami.)

Scena 7.

Prezes i Dutkiewicz.

Prezes *(sam siada i wskazuje miejsce obok siebie Dutkiewiczowi).*

Pomówmy znów o marszałkowéj!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

[1]) *Dusze rodowe:* poddani, którzy z majątkiem w spadku po rodzicach dostają się dziedzicowi.
P. Aut.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*